



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie:
rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35,
Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnej w 8-miu tomach
rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Ks. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi
rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego
kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwar-
talnie florenów 5 cent. 5.

W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich użytecznych, kwartalnie
flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.

W W. Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½,
wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

RAMULTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

ciąg dalszy. (tb. Nr. 98).

XIII.



Sylwan nie odpowiedział nie na to — rozstali się ścisnięciem ręki — Herman przyznał mu się do tego że wieczorem znowu postanowił być u starościny.

Lelia która bacznie zwracała oko na ten osobliwszy stosunek, nie znajdowała dotąd zmiany w Hannie innej nad tę że się dosyć sympatycznie wyrażała o Hermanie... Nie czyniła jęj z tego wymówek... patrzyła i milczała... Smutno jęj było jednak. Kobieta czuła może lepiej niebezpieczeństwo... Niekiedy gorzka myśl jęj przychodziła. — A nuż Hanny miłość dla Sylwana osłabnie — może się jęj Herman z oglady i dowcipu podoba?.. w cóż wówczas obróci się ofiara jęj dla brata?

Mimo tajemnia się z tém, Lelia w istocie spełniła dla niego, akt poświęcenia podając rękę Olesowi, z którym wyżyć mogła, ale nigdy być szczęśliwą... Los jakby na szyderstwo stawil przed nią groźbę... ofiary daremnej...

Otrząsała się z téj myśli bolesnej.

— A! tak źle nie będzie? Hanna nie zdradzi... Kochają się od dzieciństwa — znają a jest spokojny... Nie — to być nie może...

Wśród tych smutnych myśli, Oles stawał się coraz natrętniejszym, wyrывał się ze swego to-

warzystwa — wymykał z domu, czatował na ubóstwianą Lelię, ścigał ją w domu i jako zaręczony upominał się o dozwoleńie przepędzenia z nią choć kilku godzin na dzień. Niezmierna czułość jaką okazywał czyniła go tak nieznośnym, a w przyszłości tyle miała jęj do przeżycia Lelia, że teraz zamykała się i płakała po cichu. Oles szturmował, sługi przekupiał i cisnął się do nóżek swęj pani..

Trzeba więc było przynajmniej spróbować uzyskać w nagrodę to czego pragnęła Lelia.

Jednego poobiedzia przyjęła go miłej, serdeczniej niż kiedykolwiek, pozwoliła mu zapalić cygaro, napiła wodą sodową... przysunęła swój fotel, oddała na pastwę białą rękę i wśród gorących a coraz gorętszych oświadczeń wtręciła.

— Nasze szczęście nie byłoby pełnym, kochamy panie Aleksandrze.

— Mów — Olesiu! wyszepleń stary.

— Tak mój Olesiu — jeśli chcesz — ciągnęła dalej Lelia — gdybyś z energią miłości twęj dla córki, jęj szczęścia też nie zapewnił.

Oles zmieszał się... zakrzusił, wyplunął kawałek cygara i oczy w nią wlepił niby ciekawe, niby się nic nie domysławiające.

— Hanna kocha Sylwana — ty to wiesz od dawna.

— Seryo? ona go kocha? ja myślałem że oni o sobie zapomnieli...

— A! bynajmniej.

— No — a też tak miłe przyjmowanie pana Hermana?

— To fikcyja — to komedyja — to rzecz ułożona aby innych odegnąć.

— Nie może być! zawołał pan Aleksander... ale zlituj się... cóż to ludzie powiedzą gdy my się tak popłaczemy w pokrewieństwa? Ja nawet nie wiem czy kościół na to pozwala — a w każdym razie zostawmy to czasowi... my się pobierzemy wprzód — oni mogą poczekać...

Spojrzała Lelia na niego.

— Poczekać — lecz niechże mają tę pewność że przeszkody nie doznają, że się na to zgodzisz.

— Ja przerwał nagle Oles — ale to do mnie nie a nie nie należy! ja się zupełnie zrzekłem moich praw na starościny — ja tu jestem neutralnym.

— Popierać możesz przynajmniej...

— A no — jeśli Hanna zażąda, jeśli koniecznie sobie tego życzyć będzie — jeśli...

Tu przerwał nagle.

— Ale Leliu moja droga — zostawmy to czasowi! Ja — ja nie wiem czy to jest związek stosowny. Z bardzo wielu a wielu względów, stosunków, okoliczności... nie wiem? no — prawdziwie nie wiem czy to przyszłości ich nie grozi?

— Ja mam jeszcze nadzieję że Sylwan i ona najlepiej o tém sądzić mogą. Oni się kochają... zostawmy im swobodę...

— No — tak dajmy czas... niech się wzajem przekonają... ja nie mówię — rzekł Oles, ale królów moja, powtarzam ci że to głównie od babci i Hanny zależy, ja się mieszać nie będę, ja się mojej ojcowskiej władzy wyrzekłem...

Napróżno Lelia chciała coś z niego więcej i bardziej stanowczego wydobyć, Oles bardzo zręcznie chował się za panią starościny.

— Bardzo dobrze, odezwała się w końcu — będziemy więc około starościny zabiegali ażeby zmieniła swą opinię o Sylwanie, bo co do Hanny jestem jęj pewną, — ale ty mi daj słowo i rękę że się zgodzisz na to?

Zmieszany Oles chciał się zbyć ogólnikiem, na co Lelia niedozwoliła nagłą,

— Słowo i ręka?

Wyciągniętej dłoni niepodobna było odepchnąć i słowa które już tylko prostą stanowiło formalność, odmówić — Oles nalykawszy wyrazów niejasnych, rękę musiał podać i dał coś nakształt słowa niezrozumiałego.

Lelię to uspokoiło...

— To rzecz Hanny! dodał — ona powinna sa-

ma o swój przyszłości stanować ja się jej woli sprzeciwić nie będę.

Nadejście Sylwana którego Oleś powitał bardzo serdecznie, chcąc go sobie ująć aby mu za złe nie wziął odwiedzin u siostry, bo niewiedział i wątpił czy jest o zaręczynach uwiadomionym, przerwało rozmowę drażliwą. Sylwan wszedł chmurny i poważny jak zawsze — z Olesiem przywitał się grzecznie ale chłodno i zaczęto mówić o rzeczach obojętnych.

— Na starych przyszła pora jakas odmladniania, wszak to wiecie państwo, odezwał się Oleś, — hrabina Ramułtowa matka pana Hermana za mąż wychodzi. Lelia śmiać się zaczęła. — Za kogo?

— O! niech się pani nie śmieje! za bardzo młodego i rozumnego człowieka za pana Lubicza...

— Ale! to nie może być! to być nie może! śmiała się ciągle Lelia—Sylwan milczał, nie potwierdzał ale się nie dziwił. Spojrzawszy na brata domyśliła się że coś już o tém wiedzić musi.

— Przewidzić łatwo—dodał pan Aleksander iż często ją spotka w towarzystwie mile zapytanie—w którym mąż jej za syna będzie brany

Pan Aleksander żartując sobie z hrabinęj wcale tego wiedzić niechciał, iż sam był w położeniu podobnym, bo Lelia za córkę jego też uchozić mogła.

XIV.

Wieczór który był wyznaczony na benefis dyrektora z Romeo i Julietą Szekspira, nadszedł wreszcie. Viola miała w nim trudną rolę Julii odegrać, od rana w pokoiku jej czynność była nadzwyczajna... Suknie porozrzucane leżały na kanapie i krzesłach... Pawłowa zbierała zawczasu drobne rzeczy należące do stroju aby czegoś potem nie brakło, Szerszeń biegł po rękawiczki i różne przybory, które sobie dopiero w ostatniej przypomniano godzinie.

Viola chodziła z rolą swą po pokoju to odczytując ją, to zamysłona patrząc w głąb ogrodu na zielone drzewa i niebo jasne... wzrokiem osłupiałym który nie widzi. Trwoga jakaś ogarniała ją przed tém wystąpieniem na scenę, daleko większa niż kiedykolwiek; nie żeby pragnęła oklasków i żądna była uwielbień, lecz przez wielkie poszanowanie dzieła w którym miała postępować, które ona pojmowała tak pięknem, a obawiała się się zobaczyć skarykaturowanem.. Repetycje odbyte przerazały ją... Romea w istocie czuć było anyżówką, a przesadzona jego deklamacya zdolną była rozśmieszyć chyba nie rozczulić. Widzieć i czuć się narażoną na walczenie o własnej sile przeciwko żywiolom, które całe wrażenie zniszczyć miały—było dla biednej dziewczyny tak strasznem, iż jej odwagi brakło. Jej samęj nie starczyło sił by w sobie zamknąć dramat cały, i odegrać go sobą. Ostudzała ją nawet uboga sukienka polepiona tak z ladajakich gałganków by pyszny strój Veroneńskich patrycyuszów córy zdala kłamała...

Teatr był pełen... Viola nie miała odwagi spojrzeć przez otwór w kurtynie na zebraną publiczność, która dopominała się rozpoczęcia sztuki, niecierpliwem tupaniem...

Dyrektor widząc ją tak upadającą i bezsilną sam podprowadził ażeby rzuciła okiem na świetną salę...

Łoże na ten raz były pełne, krzesła nabitei parter zasiany głowami, nawet w raiku tłum się nacisnął tak iż zdało się niepodobienstwem, choć jedną więcęj wpuścić jeszcze osobę.

W krzesłach Viola z biciem serca poznała siedzącego Sylwana... osamotnionego zupełnie wśród obcych. W łoży na prawo znajdowała,

się obok siwowłosej staruszki piękna panna i przy niej znany Violi dobrze z twarzy pan Herman... W drugiej siedziała rozmawiając pochylona z niemi młoda pani, której łysy towarzyszył mężczyzna i dwóch czy trzech kawalerów. Viola poznała w niej siostrę Sylwana widzianą z nim w teatrze.

Dla czego Sylwan siedział tak osobno, Viola odgadnąć nie umiała. Całe zresztą znane nam towarzystwo znajdowało się tym razem zebrane w łożach, ażeby widzić parodyę Szekspira, jak większa część z nich utrzymywała. Wiele z tych panów i pań przypomniało ją sobie na paryżkiej, londyńskiej i niemieckich scenach, usmiech ironiczny błędził po ich ustach... przyszli tylko by ruszywszy ramionami, zdekretować po francuzku że teatr był bardzo nędzny...

W łoży hrabinęj znajdował się nieodstępny teraz Lubicz i para matador które go protegowwały. Sylwana oczy skierowały się parę razy ku Hannie i nie spotkały ani razu jej wejrzenia. Rozmawiała bardzo żywo z Hermanem, tak że cały teatr tę jej dla niego uprzejmość uważał. Jeśli była udaną to grała ją tak wybornie iż nawet Sylwan uczuł chłód jakiś w sercu patrząc na to co sam sciągnął niebacznie. Lelia z każdym dniem też, nie mówiąc o tém niespokojniejszą była, zdawało się jej że Hannę znajdowała zmienioną co dzień bardziej, coraz chłodniejszą, coraz weselszą i obojętniejszą...

Herman natomiast, mimo doznanego zmartwienia z powodu oświadczenia Lubicza, był w wybornym humorze i choć dowcipował, sarkazm jego był nierównie łagodniejszy, czuć w nim było jakąś zmianę wewnętrzną. Sylwanowi nawet przywidywało się że go unikał... Nim się jeszcze podniosła kurtyna, Lelia która doskonale umiała czytać w twarzy brata, postzegłszy na nią głęboki smutek i domyslając się czemu go przypisać należy pobiegła do Hanny... Na chwilkę siadły obok siebie w kątku łoży.

— Na miłość Boga, droga Hanno —szepnęła jej Lelia—proszę cię, spojrz choć na biednego Sylwana, żal mi go, widzę go tak przybitym, ponurym... a tyś temu wszystkiemu winna.

— Ja? spytała Hanna—o! pewno nie, mylisz się... Sylwan się mocno zajmuje jak upewnijają wszystkie aktorką, która ma grać rolę Julietty... to go tak chmurnym czyni.

— Co też ty sobie wyobrażasz, albo co ci to nagadali, droga Hanno! oburzona przerwała Lelia—Sylwan! zajęty aktorką!

— O! to niezawodnie odezwała się Hanna—ja mu tego za złe nie mam... Tak długo był samotnym: a potem urok artystkom towarzyszący... i, mówią że ma być ładna, dumna i roztropna...

Lelia ruszyła ramionami.

— Moja Hanno!

— Bardzom ciekawa ją zobaczyć, powiem ci moja Lelio... bardzo... boć to przecie—rywalka!

Wyraz z jakim wymówiła to słowo oburzył doprawdy Lelię.

— Droga moja, widzę że Sylwana nieznasz... lub zapomniałaś go... nad wyraz mnie to boli...

I wybiegła z łoży. Hanna wróciła bardo spokojnie na miejsce swoje, i przerwaną z Hermanem ciągnęła dalej rozmowę. W łożach też wszędzie grały się maleńkie dramata oczekujące na wielki który miano na scenie odegrać... krzyżowały się spostrzeżenia złośliwe, usmiechy szyderskie, słowa na pozór nieznaczące a brzemienne namiętnościami skrytymi... Dwoje ich tylko: Lelia zamysłona o bracie, Sylwan na pozór spokojny a przecuciem jakimś smutny—wśród tego obcego prawie im świata, gwarnego i ożywione-

go, wydawali się chłodnemi widzami... choć w jego życiu bólem uczestniczyli...

Wśród szmeru podniosła się zasłona, lecz pierwszy akt, aż do sceny w której po raz pierwszy ukazuje się Julia mało obudził zajęcia. Viola miała ten dar szczególny że gdziekolwiek występowała sćiągała i pochłaniała uwagę... oczy zwracano na nią... niesłuchano prawie innych artystów na scenie... obudzało to zazdrość, choć ona wcale się nie starała o pozyskanie tego współczucia publiczności choć o niem nie myślała.

Romeo tak był podobny do lokaja iż Sylwan którego los sztuki wielce obchodził, drzał już zawczasu o los biednej Violi. Szczęściem hrabinę Cupulet grała nie młoda a wielce inteligentna artystka, która zniszczyła wrażenia jakie ukazanie się Violi uczynić było powinno. Viola potrafiła z siebie uczynić prawdziwe dziecię wielkiego, pańskiego domu, a choć jej zbywało może na zewnętrznych oznakach, mogących złudzenie powiększyć—postawa, ruchy były tak szlachetne, tak wdzięczne iż nietylko mężka część widzów ujęta niemi została, lecz arystokracya poci pięknej zdumiała się temu zjawisku, którego sobie wytlómaszyć nie mogła. To dziecię ludu, ta sierota nie znana... to cyganie które nędza kołysała, a płacz nauczał życia—cudownym sposobem... odgadło formy świata, którego niewidziało nigdy! Przebaczonoby jej talent lecz takie przywłaszczenie monopolu dystynkei? To też zagryzano usta, damy ruszały ramionami zdziwione, a Paprzyca tłumaczył na ucho hrabinie iż chodziła tradycya jakoby Viola była dziećciem krwi książęcej! Tym tylko sposobem umiano sobie wytlómaczyć jej powagę, wdzięk i szlachetne ruchy...

Hanna z wielką ciekawością skierowała ku niej lornetę, trzymała ją długo wlepioną w aktorkę... od stóp do głów obejrzała... a potem zwróciła oczy ku Sylwanowi, który w tej chwili cały był na scenie. Iskra gniewu przeleciała po jej twarzy, chłodno jednak szepnęła Hermanowi, który się także na Julietę zapatrzył.

— Nie dziwuję się że taką robi *furorę* między panami dzisiejsza kochanka Romea, jest bowiem w istocie wyjątkowem zjawiskiem... nie tak może piękna jak sympatyczna; twarz i cała postać coś smutnego... jakiś głos miły... co za dystynceja!

Spojrziała jeszcze raz na Sylwana i zarumieniła się widząc że bardzo uważnie słuchał... artystów.

Ostatnie wyrazy w końcu aktu, które Julia stosuje do Romea, Viola zdawała się chcieć powiedzieć do tego świata, którego dziecię ukochała... świata co jej plemieniowi ubogich tak był wiekuisie wrogim, jak Montagi Capuletom... Patrzała na Sylwana wymawiając te wyrazy... a wejrzenie jej nie jedne oczy pochwyceiły w drodze...

Gdy zasłona po tym wstępie zapadła... w sali zdania były podzielone, lecz nie mówiono o nikim oprócz Violi... Chwalili ją wszyscy, choć niezbywało na tych krytykach drobnostkowych, które brzęczą i szczypią, jak komary... zabić nie mogą wprawdzie, a kęsają przecieź boleśnie. Paprzyca znajdował że dziecię proletaryatu zdradziło brak smaku w jakiejś wstążce nie ortodoksyjnie przypiętej—admirowano *finesse* tego postrzeżenia które cechowało—człowieka wielce wydelfikowanego gustu!

Już w ostatnich wyrazach—Viola zdradziła tę czulość, którą w następnych aktach miała okazać z nieporównanym wdziękiem, czulość dzieciecego serca co się jak kwiat na wiosnę po raz pierwszy otwiera...

Scena druga wtórego aktu w ogrodzie Capu-

letów była prawdziwym tryumfem artystki, chociaż Romeo chcąc być namiętnym stał się przeobrażając karykaturalnym... widzowie pochwyceńni nie patrzali nań, nie słuchali go... w głębokim ciszy poili się muzyką słowa Julietty, która nawet nie dosyć udatnemu przekładowi umiała nadać urok czarodziejski... Nieprzyjaciele i wytworni smakosze co tu przyszli ze wspomnieniami Paryża i Londynu, musieli zmartwieni przyznać iż Viola miała talent olbrzymi, że to było niesłychane na małej scenie zjawisko. Ile starych serc pobótwiających uderzyło ku niej, ilu śmiertelnie zakochało się studentów—ilu finansistów myślało o kupieniu tego klejnotu... Statystyka tego wieczoru pamiętnego nie zapisała.

Nie podziwiano może tyle przejęcia się rolą, wdzięku z jakim ona była odegrana, jak—nade wszystko to że Julietta potrafiła być hrabianką Cupulett... będąc w istocie córką ubogiego proletaryusza.

Po łożach to obudzało zajęcie, podziw, domysły różne i złośliwe szyderstwa.

W ciągu scen które, mimo towarzyszących Violi artystów—dość nieudolnych, szły niezłe wcale, Hanna kilka razy rzuciła okiem na Sylwana... i znajdowała go zawsze zatopionym w sztuce... Uczyniła nawet jakąś uwagę z tego powodu panu Hermanowi, który—choć z równym zajęciem wpatrywał się we Violę, uśmiechnął się i spojrzał na Sylwana...

Tragiczny akt piąty... grała artystka tak straszliwie rozpacznie, tak do zbytku prawdziwie iż najsurowsi nawet sędziowie nie mogli się powstrzymać od chwilowego wzruszenia... Kurtyna zapadła wśród grzmotu oklasków i wywoływań namiętnych Violi... lecz zamiast niej, po długich krzykach wyszedł tylko sam dyrektor oznajmując ze strapieniem wielkiem szanownej publiczności, iż ulubiona artystka mocno zachorowała i musiano nawet wezwać do niej lekarza.

Oko Hanny padło mimowolnie na Sylwana który usłyszawszy to wyciskać się zaczął przez tłum i zniknął gdzieś w korytarzu... który zapewne prowadzić musiał za kulisy. (d. c. n.)

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Halka. — Poranek deklamacyjno-muzyczny p. Jana Chęcińskiego. — Koncert p. Nikodema Friedberga. — Debiut p. Siwickiego.

W dniu 26 października wystawiono po raz pierwszy po śmierci Moniuszki „Halke”. Było to sto pięćdziesiąte czwarte przedstawienie tej opery na naszej scenie. Tylko „Cérułik Sewilski” i „Lucya z Lamermooru” większej liczby przedstawień na scenie naszej się doczekali. Lecz kiedy przypomnimy, że „Cérułik” od 1825 roku, a „Lucya” od 1842 roku u nas się grywają, „Halka” zaś w roku 1858 pierwszy raz była grana, to się pokaże że żadna opera u nas tak często jak „Halka” grywana nie była. I przed tym przedstawieniem, o którym mówimy, kassa wcześniej zamknięta została. Dobijano się o bilety jakby na nowość jaką. Jaki też to wdzięk nieprzeparty ta opera posiada, kiedy zawsze równie piękną, równie świeżą się wydaje! Napisana ona była w roku 1846, w czasie kiedy kwestya stosunków włościańskich w największym była na-
prężeniu. Gdyby to w owym czasie na scenie się zjawiała, to nie dziwnego, że nadzwyczajne współczucie i zapal wywołałaby musiała. Ale nie tak

o łatwo utworom genialnym na jaw się wydobyc i zdobyć uznanie. „Halka” przez lat dwanaście w tece kompozytora spoczywać musiała i przez ten czas teatr warszawski niejednokrotnie projekt wystawienia jej odrzucił, zanim narreszcie zezwolenie w drodze łaski nastąpiło. Pomimo jednak tak spóźnione jej ukazanie się, widzimy jak jest powszechnie lubioną. Obecnie treść jej jest anachronizmem i serce młodego pokolenia nie może drgnąć nawet na widok tych sytuacji wstrętnych, które niegdyś wiernie prawdę odwzorowywały, a teraz niesmak tylko i posądzenie o przesadę wzbudzają. I nie w tém dziwnego, bo tło, na którym te sytuacje były kreślone, oddawna już znikło, a więc i klucz znaczenia ich objaśniający stał się niezrozumiałym. Pod temi sytuacjami pojmujemy tutaj wszystkie sceny Janusza z Halką z Jontkiem, oraz początek trzeciego aktu, gdzie się nędza i rozpaczliwy stan włościan maluje. Ten anachronizm w stosunku do chwili obecnej czuł dobrze sam Moniuszko, skoro w samym końcu czwartego aktu recitativo Dziemby i chór włościan, najwyższą ironię stanowiące, z przedstawienia usuwał. Z tém wszystkim jednak muzyka nie na swą wartość nie straciła i „Halka” w pięćsetnym przedstawieniu równie jak teraz z zachwyceniem słuchaną będzie. Publiczność oddawna wyczekuje spektaklu przez Dyrekeyę teatrów na dochód rodziny Moniuszki ofiarowanego. Wydaje się jej to rzeczą konieczną, bo ciągnąc tak wielkie zyski z oper Moniuszki, za bezcen na wieczność nabytych, Dyrekeya jest obowiązana, wprawdzie tylko moralnie, do pamięci o rodzinie jego bez środków zostawionej. Dużo było dla Moniuszki rodziny ofiar pojedynczych, chociaż składka na ten cel po całym kraju zbierana bardzo wstępnie i słabo postępuje. Najpierwszy Bilse latem dał na ten cel koncert. Następnie tu i owdzie na prowincyi koncerty dawane bywały. Obecnie Józef Wieniawski pierwszy zakrzętnął się około urządzenia koncertu z samych utworów Moniuszki złożonego. Ale dziwnem się bardzo wydaje, że żadna z naszych instytucyj muzycznych (opera, konserwatorium i Towarzystwo muzyczne) nie podobnego dotychczas nie zrobiła. Przypuszczamy że prędzej czy później to nastąpi, ale w każdym razie dziwno, że osobom pojedynczym wyprzedzać się dają, kiedy właściwie powinny być dla nich wzorem.

Otóż, jakieśmy wyżej powiedzieli, 26 października grano „Halke”. O ile smutno nam było, żeśmy już kompozytora z pałeczką nie widzieli, o tyleśmy się ucieszyli jeszcze podczas uwertury, że p. Münchheimer nadzwyczaj starannie i umiejętnie wszystko co tylko doń należało, przygotował i wykonał. Najdrobniejsze intencje kompozytora były przestrzegane bardzo sumiennie i skrupulatnie. A co za powściągliwość orkiestry podczas śpiewów solowych, to aż miło! Szkoda tylko że powściągliwość ta się nie zachowuje i przy śpiewach zbiorowych, oraz przy chórach. Takiej siły orkiestra mogłaby używać przy chórach dobrych i silnych. Ale przy naszych, miły Boże! toż lada fortepian zagłuszyłby je potrafił. Liczymy jednak na dobrą wolę i umiejętność p. Münchheimera, że albo orkiestrę uciszy, albo chóry wzmożni. Smutny też widok przedstawiają kostiumy, akcesorya i całe otoczenie tej opery. Publiczność terazniejsza nie jest obdarzona tak bujną wyobraźnią, jak była niegdyś za czasów Szekspira. Wtedy napis na próźnej ścianie umieszczony, zapewniający że scena przedstawia puszcę, góry lub morskie wybrzeże, dostatecznym był dla rozbudzenia w widzach przekonania,

że istotnie to widzą na scenie, co im ów napis zapowiedział. Nie dość na tém mężczyźni grywali role kobiece, i to słuchaczów bynajmniej nie raziło. Ale obecnie wszystko się zmieniło. Publiczność dzisiejsza jest wymagająca złudzeń dokładnych, o ile tylko sztuka i rzemiosła zdobyć się na to mogą. Jakże więc dziwnem i nieznacznem całe otoczenie w „Halce” się wydaje! Tam gdzie „Odroważ z Pomianem się łączy,” zdaje się nie mogą występować figury tak lichu ubrane. Wszystkoż to karmazyni klejnotowi i na tak wielką uroczystość w najkosztowniejsze szaty się przyodziewali. A tu oprócz stolnika ani jednego kontusza przyzwoitego nie dostrzeżesz. Wszyscy ci „Mościwi panowie,” wydają się jak czeladź Stolnika. Sam nawet strój Janusza chyba dla jakiegoś szerepetki by przystawał. Gdy zaś rzucimy okiem na rękawiczki koloru śmietankowego ręce Janusza okrywające, na koki i cały strój kobiet tak z epoką niezgodny, to mimowolnie się reżysseryą podejrzewa o zamiar sparodyowania „Halki.” Na dobitkę jeszcze jeden z tancerzy kontuszowych przyozdobił swe oblicze bródką, co go czyni do arlekina lub pajaca podobnym. A cóż to za maniery, co za obejście się mężczyzn z kobietami! Nie tylko nie ma ani śladu owego *respektu*, owęj *rewerencyi*, jaką kontuszowcy kobietom zawsze okazywali, ale każdy ruch, każdy krok ich nacechowany jest nieprzyzwoitością, a nawet brutalstwem. I to ma być herbowa szlachta, ba nawet arystokracja w domu dygnitarskim zgromadzona! Niepodobna wymagać żeby każdy śpiewak czy też baletnik charakter i obyczaje przedstawianej epoki *ad hoc* studyował, chociaż to śpiewakom główne partye wykonywającym bynajmniej by nie wadziło. Ale od czegoż reżysserya? Stolnik z braterskim afektem i rozczuleniem gości swych podejmujący i wdzięczność im wynurzający śpiewa: „O mościwi mi panowie” tyłem stojąc do nich obrócony. A spojrzmyż na akcesorya. W domu tak zamożnego i butnego dygnitarza, w chwilę tak uroczystą, kiedy swą córkę jedynaczkę dozgonnym węzłem ma z dostojnym młodzieńcem kojarzyć, wszystkie najkosztowniejsze sprzęty z lamusów i ze skarbeca wydobyć się powinny dla okazania zamożności i splendoru domu. A tu cała ucztą mieści się na małym stolczku kilimkiem wytartym przykrytym, na którym stoją dwa dzbanki, kilka kubków i parę roztruchanów. Toż na wspanialszą wystawę lada szlachciura zagonowy zdobyłby się potrafił. Życzyć więc na leży żeby reżysserya nasza zwróciła na to uwagę i choć trochę dbałości pod tym względem wyrobiła w sobie. Takie rzeczy w Tivoli lub w Eldorado przebaczyć by się dały, lecz na scenie Teatru Wielkiego, to za nadto. O śpiewakach także mówić teraz nie pora, bo chociaż Janusz jest okropnym, ale cóż począć kiedy nikogo innego na tę rolę nie ma! Tém lepiej zaś dla nas, że mamy dobrą Halke, Jontka i Stolnika. Zofii także złą nazwać nie możemy, ale tak strasznie jest chłodną, że słuchając aż dreszcz przechodzi. Możemy się już zbyt obszernie o „Halce” rozgadali, ale trzeba było choć raz to wypowiedzieć.

Nazajutrz po „Halce” to jest 27 października pan Jan Chęciński urządził na swój dochód poranek deklamacyjno-muzyczny w sali Resursy Obywatelskiej. Według uświęconego u nas zwyczaju wykonano wcale co innego niż program zapowiedział. Doprawdy już choć trochę względności, nie powiemy wstydu, mieć by należało, żeby tak nie poniewierać publicznością, której szacunek i dbałość tylko do chwili wyprzedania biletów zwykle się okazuje. Ciekawy jestem z ja-

kiego to powodu te dziesiątki za programy przy wejściu do sali płacimy, jeżeli te programy wcale co innego zawierają niż to co na estradzie usłyszeć mamy. Może wprawdzie czasem wydarzyć się jakaś nieprzewidziana okoliczność, dla której coś w programie się zmieni. Ależ u nas rzadki koncert bez tego się obejdzie.

Pan Prochazka zamiast „Starego Kaprała” Moniuszki, wykonał oklepaną pieśń z „Marty” o porterce. Kto tę pieśń zna, ten pojmie o ile na rozpoczęcie koncertu stósowną była. Zamiast mającej deklamować pani Rakiewiczowej zaśpiewała parę ustępów pani Dowiakowska. Część deklamacyjna bardzo była zajmująca. Śliczny monolog z „Dziewicy Orleańskiej” Szyllera bardzo dobrze był wypowiedziany przez pannę Maryewiczównę. Przyznać jej należy niepospolitą zdolność deklamacyjną, która przy należywym

Chęciński jest szczywanym lisem w tej sztuce. Gawęda ta była przed kilku laty podobno w „Tygodniku Ilustrowanym” drukowaną. Jest to zdaniem naszym, bodaj czy nie najudatniejsza ze wszystkich prac poetyckich pana Chęcińskiego. Widocznie była ona pod wpływem gawęd Syromli pisaną, a nawet tokiem i formą bardzo „Filipa z Konopi” przypomina. O zaletach budowy wiersza nie wspominamy, bo to nie nowina, że p. Chęciński w wysokim stopniu je posiada, ale cała gawęda zawiera w sobie mnóstwo miejsc piętnem prawdy, piękna i nieklamane go uczucia nacechowanych. Humor zaś satyryczny, którym cała gawęda sownie jest zabarwiona, nadaje jej uroczy charakter rodzinnej swojskości. Wszelako jak na deklamację, gawęda ta jest niepomernie długą, bo co najmniej to czwartą część całego poranku wypełniła. Jedyny to jest za-

się daje. Lecz zadęcie to już rzecz wrodzona, i dla tego tak rzadko dobre się spotyka. W tonach niskich najłatwiej je ocenić, bo grzmią one u p. Friedberga jak na oboju, nie wydając najmniejszego sapania. Tryl jego nie jest też, jak to bywa u innych flecistów, konwulsyjną drgawką, lecz pełnym życia i jedności prawidłowym ruchem. Nie przypominamy nawet czyśmy u kogokolwiek z flecistów podobnie piękny tryl słyszeli. Lecz największym tryumfem mechanizmu pana Friedberga są szybko po sobie następujące skoki z dołu w górę i na powrót. Szybkość ta nie przeszkadza bynajmniej największej obu tonów czystości, a tak jest wielką, iż wywołuje w słuchaczach takie złudzenie, jakoby oba tony jednocześnie się wydobywały. Że publiczność o doniosłości talentu p. Friedberga przed koncertem nie wiedziała, to nie dziwnego. Lecz



LWIE GNIAZDO.

dalszym kształceniu i pracy może do wysokiego dosięgnąć stopnia. Znając zakrój i doniosłość tego ustępu obawialiśmy się z początku czy deklamatorce siły głosu nań wystarczą. Lecz chociaż gamma jej głosu w dość jeszcze szczupłym dyapazonie się mieści i chromatyczność tonów za mało jest wyrobioną, ani razu wszakże za obręb swjej skali nie przekroczyła, a siła głosu przy wcale wielkiem stosunkowo naprężeniu nigdy jej nie zawiodła. W deklamatorce początkującej i niedoświadczonej chwalimy bardzo a nawet podziwiamy tę powściągliwość w nieprzekraczaniu granic gammie właściwych. Służyć to może za rękojmię, że panna Maryewiczówna w potrzebnej chwili umie panować nad sobą, co jest w deklamacji zaletą nieposlednią. Nie zdziwiło nas bynajmniej, że p. Chęciński wybornie gawędę własnego utworu p. t. „Za młody” wypowiedział, boć przecie wiemy wszyscy, że pan

rzut, jaki jej tu zrobić możemy. Pan Górski ładnie na skrzypcach parę sztuk wykonał, reszta zaś programu niczem się nadzwyczajnym nie odznaczyła.

Żeby u naszej publiczności powodzenie zyskać, nie dość mieć talent i wysokie w sztuce zajmować stanowisko. Trzeba przedewszystkiem mieć rozgłos za granicą wyrobiony. Żywym tego dowodem jest p. Nikodem Friedberg, flecista, który w dniu 28 października dawał koncert w sali Resursy Obywatelskiej. Jest on rodem z Brześcia Litewskiego, nauki pobierał w konserwatorium petersburskiem i jeszcze dotychczas za granicą nie był. Z tych więc powodów ledwo małe gronko słuchaczy na koncert się jego zebrało. A szkoda, bo równego mu flecistę nie łatwo spotkać można. Ma on dziwnie piękne zadęcie, i mechanizm niepospolicie wykształcony. Ten ostatni przy usilnej pracy każdemu nabyć

dla czego Towarzystwo Muzyczne nie podjęło się pośredniczenia w tym razie i wpływem swym i powagą nie przyczyniło się do jego powodzenia, tego nie zupełnie rozumiemy. Jest to nasz rodak i ze względu swego talentu bez porównania więcej na protegowanie zasługuje, niż jakis p. Leitert, a choćby i Jaell; p. Friedbergowi zaś dochód z koncertu nawet na pokrycie połowy wydatków nie wystarczył.

Udział w koncercie brała panna Szlezycierówna. Z nielicznego grona ukazujących się nowych śpiewaczek za najlepszy nabytek ją uważamy. Głos jej uznanym jest za altowy, lecz nam się on altowym zupełnie nie wydaje. Jest to coś pośredniego między mezzo sopra. i altem. Dźwięk jego miły, świeży i zdrowy. Nie jest wprawdzie zbyt silny, lecz za to dobrze kształcony. Nuty długie ciągnie równo bez tej trzęsianki nieznośnej, która tak już nam dokuczyla. Jedną z wa-



UCZTA Z EPOKI CESARSTWA RZYMSKIEGO. Kopia z obrazu Henryka Siemiradzkiego.

zniejszych zalet śpiewu panny Szlezygierówny jest to, że ma wielki dla utworów wykonywanych szacunek. Zdarza się on często u artystów poczynających lecz krótko bardzo istnieje, ustępując miejsca następnie miłości własnej i zarozumiałości. Wtedy już im nie chodzi o jak najwłaściwsze i najgodniejsze przedstawienie utworu wykonywanego, o jak najwyższe podniesienie kompozyty, lecz całą myśl jej gotowi przynieść w ofierze dla sprawienia jakiegoś czczego efektu, byleby zyskać oklask gawiedzi. Otóż panna Szlezygierówna wcale jeszcze w tę drugą fazę nie wstąpiła i serdecznie pragniemy, żeby ją miłość sztuki i nadal od wstąpienia w nią uchroniła. Ze czterech pieśni przez nią wykonanych, najbardziej były zajmującymi dwa śpiewy Moniuszki: „Anioł dziecina” i „Groźna dziewczyna.” W ostatnim było za mało zapału i energii, do czego się przyczyniało nieco za powolne tempo. Nie czuło też było owę obrażoną dumę zwodzonoego dziewczęcia, tak dzielnie tam uwydatnionej. Ale też podejrzujemy że niektóre z tych niedokładności pochodzą z powodu publicznością, po części zaś z owego uszanowania dla utworu, o którym wyżej wymienialiśmy. Jako jeszcze jedną wielką zaletę wymienić musimy poprawne, dokładne a wyraźne wymawianie.

Wkrótce potem, bo 7 listopada, słyszeliśmy na scenie nowego debiutanta. Był nim pan Siwicki, który wystąpił w „Lukrecji Borgia” w roli księcia. Ma głos basowy i to wcale dobry, nawet go nieźle używa, tylko akcją, chód i ruchy ma okropnie nie wykształcone, że publiczność aż do śmiechu pobudzał. Wiele bardzo pod tym względem ma do nabycia przed sobą i powinien przez pewien czas chyba tylko w podrzędnych rolach występować, żeby się ze sceną oswoić, bo pierwszorzędne na własne studia publicznie obracać, to byłoby rzeczą trochę zbyt kowną. W śpiewach zbiorowych nie jest też dostatecznie usposobionym, ale solowe wcale nieźle wykonywa.

Fuza.

TANIE KUCHNIE.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 98).

Wykazawszy tym sposobem społeczne znaczenie taniej kuchni, możemy przystąpić do rozwiązania drugiego pytania, mianowicie: jakim sposobem urządzone ma być dzienne jadłodanie, aby odpowiadało trzem kardynalnym warunkom taniej kuchni, t. j. *taniaści, pożywności, czyli dostateczności i zdrowości.* W tym celu musimy zwrócić uwagę najprzód na wżwyż przytoczony podział pokarmów na trzy główne grupy t. j. *właściwie pożywe, pobudliwo-przysmakowe, korzenie i przyprawy,* do pierwszej z których należą pokarmy zawierające w sobie znacznie większą ilość ciał białkowych lub krochmalu (mączki). Niezbędny tłuszcz i sól kuchenna bywają zwykle dodawane w czystym stanie, inne zaś sole mianowicie fosforany, cukier i organiczne kwaski, znajdują się zwykle w przyprawach i samych pokarmach. Powtóre, na ową kardynalną fizyologiczną zasadę, że ani ciała białkowe krochmalnych, ani te tamtych zastąpić nie są w stanie, tylko, że funkcyjne organiczne wymagają *niezbędnie* jednych i drugich. Przypominamy przytym jeszcze raz, że jeśli chodzi o chwilowe zadosyćczynienie, to na krótki czas organizm się obejdzie prędzej bez większej ilości ciał białkowych, niż krochmalnych. Człowiek zwyczajny

wagi 65 kilogramów, t. j. 130 funt. fran. mający, potrzebuje dziennie $3\frac{1}{2}$ kilogramów, t. j. 3,500 gr. czyli 7 fran. funtów pokarmu, w której to ilości powinno się znajdować 130—150 gr. ciał białkowych, 400 gram. krochmalnych, 100—120 gr. tłuszczu i 30 gr. rozmaitych soli, resztę stanowi woda. Jest to obliczone na człowieka pracującego z nateżeniem, i taką to ilość dostarczają wszędzie w zachodnich państwach żołnierzom. Któż więc ze zwyczajnych naszych żywności posiada najwięcej części białkowych? Oto ser, który ma w sobie 35% włókniaka (do białkowych ciał należy bowiem głównie właściwe białko, którego prototyp w kurczym jajku, włókniak we krwi, sernik w mleku, gluten w zbożu i mące, legumin w strączkowych płodach, i klejnorodna substancja w różnych częściach zwierzęcego ciała, stanowiąca podstawę galaret zwierzęcych), strączkowe, a między nimi soczewica i bób, zawierające do 26,5% leguminu (grosznika)—mięso posiadające do 21% białkowych części wszelkiego rodzaju i rozmaitej wartości pożywniej, jaja, posiadające do 14% białkowych części w białku i żółtku i zboże mające do 10% glutenu (pszenica do 14%). Mleko, jakkolwiek jako pokarm najdoskonalsze, posiada jednak białka i sernika w przecięciu 5,4%, tak, że wypadaloby wielkie ilości jego pochłaniać, by otrzymać odpowiednią ilość ciał białkowych. Rzuciwszy okiem na wżwyż przytoczone główne pokarmy okazuje się, iż właściwie, jeśli chodzi o dostarczenie organizmowi potrzebnej ilości ciał białkowych, możemy mieć na względzie głównie tylko strączkowe płody, mięso i do pewnych granic i zboże. Ser jakkolwiek zawiera największą ilość owych ciał, nie jest przydatnym na przeważne pożywienie, gdyż zawiera w sobie, prócz sernika, takie ilości tłuszczu i innych pierwiastków, będących korzystnymi dla organizmu tylko w małej ilości, że musiałoby nastąpić przeładowanie go nimi, a przez to i chybiecie celu, gdyż spowodowałoby się tym sposobem nie wżyzwienie i zachowanie organizmu, ale chorobę i śmierć. Ser może być więc używany tylko w małej ilości, jako dopełnienie potrzebnej ilości ciał białkowych, przy odpowiednim układzie jadłodania i to ser krwi, zwyczajny, świeży, lub wysuszony, nigdy zaś sery wytworniejsze, według osobnych sposobów przyrządzane. Również i o jajach można powiedzieć, iż one służą więcej do przypraw, jak do właściwych pokarmów zwyczajnych, przez swą wysoką cenę i ograniczoną bardzo ilość; tęp mniej jeszcze dla taniej kuchni. Wybór pozostaje więc tylko między strączkowymi, mięsem i mącznymi. Z jarzyn, może być mowa tylko o kartoflach, marchwi, burakach i rzepie. Lecz żadne z nich nie posiada tyle części białkowych (marchew ma zaledwo 2% a kartofel 1,5%), a żeby można je wziąć na uwagę przy zadosyćczynieniu tej potrzeby organizmu. Tam, gdzie nie chodzi o taniść, mięso zasługuje bez zaprzeczenia na pierwszeństwo. Zawiera ono bowiem ciała białkowe w tej formie w jakiej najłatwiej się przyswajają organizmowi, a przyrządy trawienia niepotrzebują się przeto wysilać, aby im nadawać chemiczną budowę, niezbędną w tym celu, co przy przerabianiu innych ciał białkowych jest potrzebnym. Więcej jeszcze nadto nadaje mięsu wartość wysoką ta okoliczność, że ono posiada w sobie pewne, chociaż nie ze wszystkiem znane nam jeszcze pierwiastki, które wywierają wpływ pobudzający i na przyrząd trawienia i na system nerwowy centralny. Rosół wołowy, mocno stężony, może nawet sprowadzić śmierć człowieka.

Lecz dla tanich kuchni jest ono nie ze wszystkim odpowiedniem. *Najprzód* jest ono za nadto drogiem, ażeby je można podawać w dostatecznej ilości;—*powtóre*, ilość ciał białkowych w nim jest nadzwyczaj zmienna, i zawisła od gatunku bydła, od tych części ciała, z których mięso zostało wzięte, od młodości zwierzęcia i mniejszej lub większej tuczności, i t. p.,—*potrzebie*, przygotowanie jego wymaga również więcej czasu, paliwa, troskliwości, mianowicie, gdy ma być podane w postaci pieczeni, lub w formie wymagającej smażenia. *Po czwarte*, u osób, których żołądek przyzwyczajony do większej objętości pokarmów, ażeby uczucie głodu mogło być zaspokojonem, mięso, przedstawiające małą objętość i niewymagające zbyt znacznej pracy przyrządów trawienia, niebyłoby w stanie zaspokoić uczucia głodu. W taniej kuchni może ono mieć przeto użytek ważny, lecz w pewnych tylko granicach. Wychodząc więc ze stanowiska potrzeby dostarczenia organizmowi należnej ilości ciał białkowych, tania kuchnia musi się w tej mierze oprzeć przeważnie na pokarmach strączkowych; ser zaś, mięso, chleb i mąka w ogóle, mają tu znaczenie drugorzędne, pomocnicze. Musi ona się postawić na stanowisku kuchni naszego ludu, któremu groch z kapustą i słoniną, pieróg z serem, lub kluski z serem i barszcz, muszą zastępować mięso i służyć za potrawę narodową. Dodatek kwaśnej kapusty, barszczu i poniekąd sera występuje tu z pewnością jako zastępcy tych pierwiastków mięsa, od których zawisło pobudzające jego działanie i na proces trawienia i na system nerwowy.

Drugim ważnym pierwiastkiem pożywienia jest krochmal, mączka. Dostarcza go najczęściej kartofel i mąka zbożowa, lecz i w płodach strączkowych znajduje się w znacznej ilości. Kartofel nie na darmo stał się powszechnie ulubioną potrawą. Raz, że rozplodowa wydajność jego jest stosunkowo większa aniżeli zboża, powtóre, że zawiera w sobie prócz mączki pierwiastki, mianowicie sole potasowe, w znacznie większej nawet od mięsa ilości, które według najnowszych poszukiwań mają wpływ silny na system nerwowy centralny. Ziarno zbożowe ma zaś tę wyższość nad nim, że zawiera ośm razy więcej ciał białkowych, mianowicie, jeśli przerobione jest na kaszę, przy wyrzuceniu którejś mniej tych ciał odchodzi z otrębami; wtedy zachowuje ono znacznie większą ilość tych ciał i służy tym sposobem równocześnie do uzupełnienia fizyologicznie potrzebnej ich ilości. I w tym wypadku instykt prostego ludu ubiegł naukę, gdyż kasza ze słoniną należy również do potraw ludowo-narodowych. Najdogodniejszym i najpożyteczniejszym jednak reprezentantem mąki jest chleb dobrze wypieczony, mianowicie pszeniczny, dla taniej zaś kuchni, chleb żytni lub do połowy z pszenicą; taki chleb wraz z kartoflem wynagrodzić może wszelkie inne mączne potrawy. Dla tego to prócz instytucji tanich kuchni niepomiernie ważnym jest urządzenie wypieku taniego i zdrowego chleba, czyli tak zwane tani piekarnie, gdyż w postaci chleba biednemu najtaniej i najstosowniej można dostarczyć ilości potrzebnej dla niego krochmalu, zawartego w zbożu.

Na jeden przesąd powszechnie rozprzestrzeniony, musimy zwrócić uwagę w tym miejscu. Powszechnie sądzą, że chleb razowy t. j. z otrębami, jest najpożywniejszy, t. j. że cała prawie zawartość ciał białkowych znajdujących się w zbożu, idzie na pożytek organizmu. Otóż to

przypuszczenie jest błędem. Otręby są niestrawne dla człowieka nawet dla pracującego fizycznie, i mała tylko ich ilość ulega niekiedy sile trawienia u osób z bardzo silnymi przyrządami trawienia i w razie braku innej żywności. Lecz one drażnią kiszkę, sprowadzają obfite wypróżnienia i powodują tym sposobem znaczną utratę pożywnych części, wydalonych z organizmu, nim zdołały jeszcze być wchłonięte. Dla tego według najnowszych poszukiwań, uskuteczonych w laboratorium fizyologicznym monachijskim przez różnych uczonych, chleb ten jest bardzo zbawieny dla osób, obfitujących w pożywny pokarm, lecz wręcz szkodliwy dla tych, którym tylko ściśle wymierzona ilość pokarmów pożywnych jest dostępna. Chleb biały pszeniczny (bułka) jest najkorzystniejszy; ale że ten stosunkowo zanadto jest drogi i należy do zbyt wysokich, więc chleb żytni czysty lub zmieszany z poślednią pszeniczną mąką, jest najstosowniejszy i najkorzystniejszy, co i doświadczenie codzienne wszędzie potwierdza. Tania kuchnia niepowinna więc żadnego innego używać chleba.

Prócz ciał białkowych i krochmalu, do części niezbędnych jada należy tłuszcz. On ułatwia wchłonięcie ciał białkowych i zmiany ciał krochmalnych, których część pewną on zastępuje. Gdyby nie było tłuszczu w potrawach to wypadłoby powiększyć ilość ciał krochmalnych w stosunku 2,4 części krochmalu na 1 część tłuszczu. Organy trawienia zostałyby przeto przeładowane taką ilością krochmalu, który przez nie musi być przerobiony na różne inne pochodne ciała, głównie dekstrynę, cukier itd. nim się stanie zdolnym do wchłonięcia i przyswojenia organicznej tkanki, że niepodałyby tej pracy. O tyle więc nakłada się więcej pracy na organizm, dla którego prócz tego i ciała białkowe i krochmala trudniejsze byłyby do strawienia. Lecz tłuszcz sam jest trudny do wchłonięcia. Większa więc znacznie ilość jego nad 100—120 grammów, zawisła od indywidualnych warunków spożywającego, miałaby ten sam skutek co i otręby. Lecz też niżej czterech lutów, u osób pracujących fizycznie, spadać niepowinna. U osób innym, mianowicie umysłowym pracom oddanym, musi być większą. Dla taniach kuchen najwłaściwszą jest słonina lub smalec wieprzowy. Słonina jest stosunkowo tańszą i posiada zarazem wiele pierwiastków działających pobudzająco i uzupełniających ilość innych do równowagi w organizmie niezbędnych. (d. c. n.)

UCZTA

Z EPOKI CESARSTWA RZYMSKIEGO.

Podając publiczności naszej po raz pierwszy dzieło nieznanego jej jeszcze z wystaw krajowych artysty, czujemy się w obowiązku zaznajomić czytelników naszych z osobistością która w dziejach sztuki obiecuje zająć nieposlednie stanowisko. P. Siemiradzki pochodzi ze starożytnej rodziny litewskiej powiatu Nowogródzkiego który już nie jedną świetną gwiazdę na horyzoncie nauki i poezji krajowej zabłysnął. Skończywszy uniwersytet Charkowski w r. 1864 wstąpił do akademii Petersburgskiej gdzie w krótkim czasie zjednał sobie imię zdolnego rysownika i kompozytora tak iż otrzymał nagrody akademickie najwyższe, kosztem rządu został wysłany dla dokończenia wykształcenia

za granicę; tamto a mianowicie w Monachium w marcu roku bieżącego ukończył i wystawił obraz którego kopię tu podajemy. Czasopisma niemieckie nie tylko nie specjalne ale nawet specjalne, jak Deutsche Kunst-Zeitung, odzywają się o tym dziele sztuki z wielkimi pochwałami. Podług tych sprawozdań kierunek p. Siemiradzkiego jest przeważnie kolorystowski, dowód mistrzowskiego władania barwami złożył artysta nasz w orgii rzymskiej, zestawiając tu światła nocne od lamp przyświecających bachanalii z pierwszymi promieniami rozświtu, rzucającego pełne uroku półświatło na grupę niewolników, unoszących rannego gladyatora z pola walki śmiertelnej, która na uczcie ustępuje właśnie miejsca wesołym skokom i brzęczącej muzyce rozpustnych tanecznic; grupa prawą stronę obrazu zajmująca ma robić też prawdziwie głębokie i przejmujące wrażenie. Cały ustrój obrazu wybornie obmyślany, urządzenie wnętrza budowli ozdobne a w prawdziwie rzymskim stylu, i pełnym przepychu, marmurów, bronzów i złota, słowem ubranie sali, świadczy iż autor obrazu łączy z wielkim talentem plastycznym głębokie studia starożytności, gruntowne wykształcenie dziejowe, znajomość zwyczajów i obyczajów narodu którego upadek przedstawił w zarysach tak śmiałych, dosadnych i pełnych prawdziwego życia. P. Siemiradzki zwiedziwszy Włochy bawi obecnie w Rzymie gdzie pracuje nad wielkich rozmiarów obrazem osnutym na tle jednej legendy z żywotu Zbawiciela. Byłoby zezną bardzo pożądaną aby artysta zechciał którą z dawniejszych prac swoich znajdujących się w ręku rodziny w Warszawie, udzielić wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych aby publiczność nasza z rodzajem talentu jego chociaż w ten sposób zapoznać się mogła.

W. G.

BIBLIOGRAFIA.

Ludowi polskiemu zdrowe rady z pola myślicieli zebrane przynosi szczerzy jego przyjaciel Karol Forster. Berlin, 1871.

Zasłużony wydawca Biblioteki nauk moralnych i politycznych, 25-ciu książeczek klassem pracującym polskim i Teki narodowej wystąpił z nową publikacją przeznaczoną dla wszystkich stanów społeczeństwa, „a zwłaszcza dla klas nie będących w stanie kupowania książek, a które jednak najwięcej u nas potrzebują rozsądnej, praktycznej oświaty.” *Zdrowe rady*, do których pierwszą myśl podał autorowi dziełko p. de La Pommeraye zawarte są w następujących 10-ciu rozdziałach: 1) Rodzina, 2) Dom, 3) Wychowanie i nauka, 4) Zdrowie, 5) Profesya i interesa, 6) Pieniądze, 7) Stosunki społeczne, 8) Namietności, 9) Wady, Przywyknienia, 10) Doświadczenie, 11) Życie i śmierć.

Czy tak zwane zdania „moralne,” lub „zdrowe,” pożyteczne są pod względem praktycznym — wątpimy. Wyjątek w tym względzie stanowią maksymy nacechowane powagą religii, tudzież formuły streszczające zasady wyrobionego już ostatecznie charakteru i woli. Atoli i w tym ostatnim razie cały pożytek sprowadza się do jasnego sformułowania prawideł rządzących postępowaniem jednostek. Dla marnotrawcy np. równie jak i dla oszczędnego, zdanie „pamiętaj rozchodzie żyć z przychodem w zgodzie” będzie

nienowem i nieużytecznym... Obaj nie zaprzeczają mu wielkiej mądrości; ale to nie przeszkodzi jednemu rwać się do lasa, a drugiemu do sasa. Wychowanie praktyczne—domowe i społeczne, a nie mądrość książkowa—urabia wolę i wywarza czyny takie lub inne. Stosuje się to przeważnie do stanów wykształconych—po części zaś i do ludu; ale że gleba nowinna prostaczków jest nader bujną, prędzej więc przyjmie się tam szcep „rady zdrowej” niż gdzieindziej. Potrzeba mu tylko nadać odpowiednią sferze właściwej formę. Maksyma podana ludowi, powinna być zwięzłą, jasną, treściwą, zastosowaną do jego obowiązków, korzyści i strat dotykanych, codziennych. Ideałem w tej mierze pod względem moralnym są Księgi Święte, pod względem zaś mądrości praktycznej—przysłowia ludowe.

Uwzględniając najszlachetniejsze chęci wydawcy „Rad zdrowych z pola myślicieli zebranych,” zmuszeni jesteśmy wyznać, że autor nie zna ludu, któremu poświęcił swą pracę. Pomiedzy „zdrowymi” radami jego wiele jest takich, które nie mogą pochłubić się... zdrowiem. Tak np. na str. 8 czytamy: „W rodzinie ojciec przedstawia stronnictwo zawsze niepopularne władzy i żywiołu zachowawczego; matka zaś przedstawia stronnictwo wolności; ona staje w obronie słabości dziecka i w obronie natury... Z jednej strony ona przedstawia łaskawość i przebaczenie, a z drugiej wolność.” Jeszcze kilka przykładów: „Porządek, regularność, jest cnotą bardzo zimną i mało powabną (str. 15)”... „Chcecie mieć dobrych służących!... uważajcie ich jak nieszczęśliwych (dla czego nie uboższych!) przyjaciół... (str. 16). Trzeba się uczyć płacząc, aby śmiejąc się zarabiać (str. 39)... Nieszczęśliwie dobrane są przysłowia higieniczne, np. „chleb świeży wzdyma żołądek i... wypróżnia kieszeń. Wiele jest zdań zanadto wyrafinowanych: np. „Błabe podejrzenia i niewczesne wyrzuty oburzają, ale nie poprawiają... Przedewszystkiem nie przyjmujcie, jakimkolwiek będzie ich źródło, idei rozpowszechnianych, pełnych obłędów i przesądów”... „Prawdziwą i płodną równością jest równość w obec wychowania, w obec wyższości manierów... Kadry towarzystwa tak już dziś rozszerzono, ażeby wszystkie zasługi mogły w niem znaleźć miejsce.”

Czy lud zrozumie wyrazy: inteligentny, chimeryczny, enerwacja, higiena, metoda, wolne mularstwo, hipokryzja, solidarność, argument, komplementa i t. p. Czy go zbudują nazwy Janet'a, Larochevoucauld, Chatlam'a?... Po raz jeszcze wątpimy.

Wiele jest rad... zbytecznych. Po co zalecać prostaczkom, ażeby nie jedli nosem, lub nie wąchali uchem?... Na str. 105 czytamy: „Nie pij wody nim ją zobaczysz.”

Język — nie polski. „Rodzina jest potrójnie święta, gdyż Bóg jest przy początku, w środku i na końcu... Ci którzy u obcych szukają to, co z niemo zrzecznością i cierpliwością mogliby znaleźć w swjej rodzinie... gasząc głód... Pod barwą żartu robić ludziom złe komplementa... zatrzeć łzę”... Czy to po polsku?

Do „Zdrowych rad” autor dołączył piękny odczyt areybiskupa paryzkiego G. de Darboya: „Zarząd samego siebie” (po polsku: panowanie nad samym sobą).

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

OKLASKI, KLAKA, KLAKIERY,

KRYTYKA SZTUK TEATRALNYCH I ARTYSTÓW.

Mało zwyczajów zamierzełłej starożytności, doszło do naszych czasów w takiej pełni życia, jak oklaski. Można by niemal powiedzieć, że dziś słyszane, są przeciętnie echem odzywających się niegdyś na widowiskach dawnej Romy. Nikt nie zaprzeczy, że oklaski, jeżeli nie są poławianiem lub zachętą, lecz objawem zadowolenia, uważane być mogą za natychmiastową nagrodę dla autorów i aktorów. Dziełu przestęchanemu spokojnie nie wróżymy długiego życia chociażby opinia istotnych znawców, uważając milczenie za skutek głębokiego zajęcia, najpochlebniej o niem się wyrażała. Mielśmy dosyć przykładów, że sztuki niezaprzeczonej wartości przyjmowane szepcącą pochwałą lub słabym oklaskiem, musiały ustąpić miejsca lichym utworom wywołującym głośne zadowolenie. Wprawdzie przypisać to wypada brakowi wykształcenia ogółu, ale cóż czynić? jednostki tworzą publiczność, przecież nie są publicznością. Większa część teatrów musi iść za jej zdaniem bez względu czy scenę uważa za rozrywkę, wypoczynek, czy też zajęcie umysłowe. Sąd o tém zadaleko by nas zaprowadził,—chcemy mówić tylko o oklaskach. Czytamy w autorze „Mohorta” (Pamiętnik do literatury polskiej w XIX wieku) „Podniesienie sztuki dramatycznej budzi zapal w publiczności; a zapal publiczności podnosi grę artysty i talent autora.” Aktor zimno przyjmowany utracą odwagę, widząc, że nie umiał wydać co pomyślał i uczuć, stygnie, przejmujący go chłód udziela się dziełu i słuchaczom. Oklaski są jego ambicyą, życiem; zadowolenie, wzgląd publiczności powietrzem i słońcem.

Wiadomo jak wielką cenę przywiązywano w Rzymie do oklasków wczasie odczytów lub mówienia z pamięci, i jakich używano środków na sprowadzenie słuchaczy. Zapraszano ich osobicie, listownie, nawet zmuszano do wejścia na salę Juliusza, otwartą dla deklamatorów. Jeden z bogatych głupców, któremu zdawało się, że jest poetą, zaprosił dłużników na słuchaczy i klaszczącym darował należność. Poeci, sofisci deklamatorowie, płacili za oklaski; ulubieńcy fortuny utrzymywali w domu swoim próżniaków do przyklaskiwania. I to był początek klakierów. Służebnicze rzemiosło przyjmowali plebejusze; chór domowy sytał oklaski swoim chlebobdawcom, śród najhałaśliwszych pochwalnych okrzyków odprowadzając ich po skończeniu odczytów lub deklamacyi.

Użytek klakierów prędko się rozszerzył. Za sofistami poszli w ślad adwokaci. Pliniusz pisze o nich w swoich listach:

„...Widzicie co kosztuje zostać wielkim mó-

wcą. Za taką cenę zapełnić wszystkie ławy; za danym znakiem urządzającego ten koncert pochwalny, wywołacie okrzyki zapalu, bo trzeba koniecznie znaku tym ludziom, którzy nie rozumieją a nawet nie słuchają.”

Powyższe określenie maluje najdokładniej za płaconych klakierów teatralnych.

Wprowadzenie ich na widowiska datuje się od Nerona. Namiętny wielbiciel poezyi i muzyki bez względu na prawa i godność swoje chciał koniecznie zostać komedyantem.

Nie śmiejąc jednak ze zdolnościami swemi popisywać się w Rzymie, pierwszy raz wystąpił w Neapolu. Upojony oklaskami mieszkańców Aleksandryi, którzy przybywszy za kupnem zboża, nie szczydzili ich śpiewającemu Neronowi, sprowadził mnóstwo indywiduów z ich miasta i utworzył z nich kompanię młodych rycearzy, nazwanych Augustanami. Następnie przyłączywszy do nich 5,000 młodych, silnych i zdrowych plebejusów, kazał podzielić na oddziały, i doskonalić w rozmaitych rodzajach oklasków, jak *bombus*, szmer pochwalny, ciągły, brzęczenie *testae*, oklaski zwyczajne, kastaniety (palcami klaskali jak kastanietami); *imbrices*, wybuchy uniesienia, zapal, okrzyki, powiewanie w powietrzu połami togi i t. p. (Przezorny Aurelian kazał rozdać pomiędzy lud kawały materji na zastąpienie togi). Młodzież oklaskująca odznaczała się wykwintnym ubiorem i pierścieniem na palcu lewej ręki, zwano ją *juvenes*; przywódzca (*curator*) pobierał rocznie 40,000 sestercyj blisko 30,000 złotych).

Lubo Seneka i Burkus, wszelkimi sposobami usiłowali zwrócić uwagę Nerona, że wystąpieniem na scenie ubliży godności panującego, przecież musieli być przy jego boku w charakterze suflerów, kiedy w Rzymie grał Apolla; co większa po odśpiewaniu kiku ustępów głosem tak cienkim, że śmiech powszechny obudzał, musieli pierwsi dawać oklaski wstrząsając togami, aby zgromadzeni poszli za ich przykładem. Łatwo wyobrazić sobie można jakie to były okrzyki uniesienia, kiedy pod karą śmierci każdy musiał klaskać Neronowi. Augustanie cudów dokazywali, szlachta krzychała: „Piękny Cezar! Apollo! Cezar Herkules! Nikt cię nie zwycięży! Przysięgamy na ciebie samego!”

W Tacycie znajdujemy opis następujący: „Z nadejściem igrzysk co pięć lat przypadających Senat dla ocalenia, ofiarował monarsze nagrodę zwycięzcy za śpiew, dołączając do niej wieniec za wymowę. Neron oświadczył, że stawia się na równi ze swojemi spółzawodnikami i że sprawiedliwości sędziów chce być winien zwycięstwo.

Zaczął od deklamacyi wierszy, następnie posłuszny woli publiczności, która pragnęła poznać wszystkie jego talenta, postąpił naprzód z uszanowaniem, grał na lirze przy dopełnieniu przepisów dla ubiegających się o pierwszeństwo. (Przepisy nakazywały stać bez względu na utrudzenie, ocierać pot z czoła tylko własną suknią, unikać plucia i wycierania nosa w obec widzów). Następnie ukląkł, a złożony zgromadzeniu ręką ukłon pełen uszanowania, z udaną obawą oczekiwał wyroku sędziów.

Pospólstwo rzymskie wydawało okrzyki w wyuczonej nócie i klaskało w takt. Ale przybywszy z miast odległych gdzie jest jeszcze surowa Italia, ze swojemi starożytnymi obyczajami, nie mogli znieść tego widoku, ani poddać się ohydному obowiązкови. Niewprawne dłonie opadały ze znużenia, zatrważając wyuczonych, bo żołnierze umieszczeni po wszystkich miejscach dla pilnowania aby oklaski dawano zgodnie i bez przerwy, uderzali ich po rękach.

„Niektórzy z rycearzy, chcąc się przedostać przez tłumy ściśnione, w wążkich przejściach padali bez życia, inni siedząc dzień i noc na swoich miejscach narażali się na śmiertelne choroby. Ale to niebezpieczeństwo było mniej groźnym, niż nieobecność, albowiem byli tacy którzy postzegali smutek lub wesołość każdego z widzów. Oskarżeni z nizkiego rodu karani byli natychmiast; dla stanu wyższego karę wstrzymywano czas niejaki, ale był to dług z późniejszym terminem...”

Francuzi przez pamięć na pochodzenie klakierów dotąd zowią ich rzymianami. Organizacya ich, jako instytucyi w pewnym rodzaju datuje od urządzenia siedzącego parteru. Elleviou utrzymywał: że klaka tak jest potrzebną w środku parteru jak żyrandol w środku sali. Przekonano się bowiem, że oklaskiwana sztuka lub aktor, więcej się podobają, zatem większy zysk przynoszą; a ponieważ wszystkie prawie teatra są przedsiębiorstwami spekulacyjnym, przeto używają klaki, jako środka do licniejszego zwabiania publiczności. Ten plód XIX stulecia, pokonał straszny trybunał parteru, przed którym drżeli autorowie i artyści, pozabawił go najwyższej opinii, której nie pozwalał narzucać sobie płatnym admiratorom. W teatrze Francuzkim zwykle w końcu roku teatralnego, jeden z artystów miał do publiczności pokorną i schlebiającą przemowę, pióra zręcznego autora. Przemowy takie pisywał Voltaire, później Delavigne a w końcu Teofil Gauthier; starano się jedwabnymi słówkami ugłaskać smoka. Po zaprowadzeniu klaki przemowy stały się niepotrzebnymi; publiczność utraciła władzę, mając pod żyrandolem płatne dłonie do klaskania, które ją uwalniają od tego trudu. Zadowolona, pozwała działać machinie, jeżeli przeciwnie, wstrzymuje ją silnym i nakazującym „ciecho!” rzadko jednak używa tego przywileju. Nudzi się w milczeniu, skromnie, zbyt dobrze wychowana, aby sobie pozwoliła mieć zdanie, przyjmuje z największą powolnością tyranie klaki.

Tak więc przeciwko słowom p. Meciszewskiego który w uwagach swoich o teatrze francuzkim mówi: „W wielu pierwszych teatrach panuje zwykle surowe milczenie i tylko wysoko posunięty talent lub najwyższy stopień sztuki wywołują oklaski” stawiamy dowód niezaprzeczony, że właśnie tam oklask przywłaszczyła sobie klaka za pieniądze. (d. c. n.)

Do niniejszego Nru dołączają się Prospekta:

- 1) Na wydawnictwa S. Lewentala.
- 2) Na wydawnictwa Michała Glücksberga.

Tręść: Ramułtowie, powieść współczesna J. I. Kraszewskiego (c. d.)—Przegląd Muzyczny, Fuzy.—Tanie kuchnie (c. d.)—Uczta z epoki cesarstwa rzymskiego. — Bibliografia. — Ze świata naukowego i społecznego. Oklaski, Klaka, Klakiery, Krytyka sztuk teatralnych i artystów. — Ryciny: Lwie gniazdo. — Uczta z epoki cesarstwa rzymskiego.